KRAKÓW
MARZEC
1934

GAZETKA

Nr. 4

Miesięcznik samorządów uczniów gimnazjów 356 – 357 – 358

Cena 10 gr.

Rok 1. Nr. 4

GAZETKA

Miesięcznik Samorządów Gimn. Krakowskich

Kraków 1 marca 1934 r.

Frontem na zachòd i frontem ku morzu.

Bolesław Chrobry wbił słupy graniczne w Odrze i Dnieprze i w ten sposób oznaczył granice dla polskości na czasy późniejsze. Ziemie to czysto słowiańskie, więc prawo do nich nie jest naszą uzurpacją.

Przed rozbiorami Polski nie zwracano uwagi i baczności na ważność ziem zachodnich i Pomorza. Dopiero niewola dała narodowi zrozumienie niebezpieczeństwa Zachodu. Austrjackie szykany, nawet rosyjskie barbarzyństwa i znęcanie nie były tak straszne, jak pruska germanizacja. Żelaźni kanclerze niemieccy z prawdziwie niemiecką stanowczością przeprowadzali swój plan zniszczenia polskości, zdeptanie polskiego ducha. To też teraz w odbudowanem państwie winniśmy stworzyć potężny front dla obrony granic, jakie nam dały losy. Czasy ostatnie dały nam poznać politykę naszego zachodniego sąsiada, tamte granice są solą w oku niemieckiej zaborczości. Świat czeka od nas wyjaśnienia, czy godni jesteśmy zatrzymać w ręku obecne ziemie i czy damy sobie bezkarnie odebrać to, co się nam słusznie należy.

Rzućmy więc w naród hasło „frontem na Zachód"! Tam nasze bogactwo i potęga. Śląskie kominy pracują dla Polski, wielkopolskie ziemie to wzór gospodarstwa narodowego. Uczmy się my młodzi miłości tych ziem, uczmy naród o ich znaczeniu, a stworzymy front jednej myśli, jednego pragnienia. Nie rzucim ziemi skąd nasz ród, nie damy więcej oduczać dzieci polskiego pacierza, jak to było we Wrześni, nie damy niszczyć naszej kultury.

A teraz spójrzmy na morze. Tam droga do naszej potęgi i znaczenia i tam musimy front zbudować. To pierwsza sprawa dnia dzisiejszego. Budowa floty i portu, to najlepsza realizacja tego hasła. Zrozumiał też naród ten zew i dziś obchodzimy corocznie Święto Morza, któreśmy uroczyście czcili społem dnia 11. II. 1934 r. Święto Morza, to najsilniejsza manifestacja naszych myśli. Otrzymany wąski pas wybrzeża obwarować musimy piersiami całego narodu, musimy stawić na straży Orła Białego, by czuwał nad polską ziemią i szumem skrzydeł żegnał odchodzące w świat parowce. Naród 33-miljonowy nie może się pozbyć wybrzeża morskiego, byłoby to wielką niesprawiedliwością, byłby to kres naszego rozwoju. My nie pójdziemy śladem ojców orać tylko ziemię i bać się morza. Pokazujemy światu, że dobrze czujemy się i na morzu, że handel i przemysł rozwijać potrafimy i potrafimy też walczyć o morze.

Daliśmy dowód, że o własnym bycie stanowić możemy tam, gdzie niedawno szumiały krzewy i stały chaty Kurpiów, tam dziś nowoczesny port dymi oddechem parowców. Święto Morza przywodzi każdemu na myśl tę kwestję palącą, wycieczki dają poznać piękno wybrzeża. — Oto znaczenie tych haseł dla narodu, lecz większe to ma znaczenie dla zagranicy. Świat się przekonuje, że przy granicach obecnych stoi cały naród z nieugiętą wolą.

Więc morze polskie szumi radośnie falami, całuje pianą polskie wybrzeże, na którem strażnik w polskim mundurze duma o naszej sławie.

O polskie morze! Osłonimy cię ofiarnością całego narodu, nie damy cię na łup tym, którzy wolności uszanować nie umieli, boś ty morze wolne i zawsze polskie! Polska zawarła ślub z tobą, którego nie zerwie żadna burza zaborczych zapędów!!!

J. Krzyżowski. 358.

Odpowiedzi narwane.

(Wywiad z p. Jalu — Kurkiem).

Kurjerek.

Zimny gmach z wielką, niestosowną statuą gazeciarza w hallu.

Na dole, na kwitarjuszu trzeba napisać kto i do kogo.

Do Jalu Kurka. (jeden z wybitniejszych poetów, pisarzy i teoretyków krakowskiej awangardy). —

— Pan chciał się dowiedzieć czegoś o waszej Gazetce? No tak... bardzo miła, miła. Tylko to wydanie. Przecież i w powielarni mają jakieś odstępy, interlinje. —

Grube, robotne palce rysują niebieskim ołówkiem, prędko, prędko, nerwowo, jakieś linje grube, grube, a z każdej linji wyrasta do góry fontanna kresek wyżej, wyżej...

— Bo tak, to człowieka napawa melancholją.

— Chciał pan wiedzieć coś więcej? No tak... miłe. Próby nowelowe naogół słabe. Zainteresowaliście się filmem, teatrem, literaturą, no tak. Wiersze? Tak. Wiersze słabe. Wogóle nie czytałem. Nie czytuję poezyj. —

— Która najlepsza? Coś o bruku i o myszy. Czy było coś tam o myszy? Nie? O koniu? Tak, o koniu. Kilka ciekawych podejść, chwytów. To mnie specjalnie interesuje.

— O kobietach w literaturze miłe. Tak. Jakbym ja sobie tak od ręki, ot na poczekaniu... Ja-

snorzewska, Dąbrowska... I cieszę się, żeście się poznali na Szczuckiej. Epigonka Sienkiewicza, piąta woda po Kisielu. I wogóle powieść historyczna... Zato Gojawiczyńska świetny talent, już świetny. Regjonalizm oparty na silnem podłożu realnem, nędzy. —

— Ale ja teraz nie mam czasu. Bardzo przepraszam. Dziś sobota. Numer w większym nakładzie. Może pan przyjdzie za pół godziny? —

Dobrze. —

— Co słychać z Franusiem w Naprawie? Właśnie wydaję tę powieść. —

Wzrok oskrobuje róg stołu. Ręce mają zajęcie. Mają papier. Wyginają, ściskają, zakrywają. Usta mówią:

— Naogół ludzie powtarzają kompromisowo: teatr ma swoje środki, a kino swoje. Ja jednak uważam, że teatr w takiej formie, jak był dawniej, skończył się i nie mamy go powodu żałować. Film ma dużo ciekawych możliwości. Teatr powinien stać się widowiskiem i wtedy tylko da się utrzymać. Co do kina, to wyeksploatowane są tylko filmy fabularne. Jest to mniej więcej to samo, co romanse brukowe. Pozostaje więc cały plastyczny, naprawdę filmowy świat. Wogóle nie powinno być tego układu, co teraz. Jest jeden duży film, mętna piła i paręset metrów ciekawych aktualjów. Powinien być zachowany czas trwania dwugodzinny, ale składać się z krótkometrówek. Więc film dokumentarny czy historyczny (dzisiejsze tygodniki), komedja rysunkowa, komedja sytuacyjna, bajka, dramat przedmiotów ożywionych, film naukowy. Naprzykład z życia mikrobów. Ciekawe plastyczne zdjęcia, powiększone bakterje w ruchu, a jednocześnie nauka. Jeden duży film nuży nas i nie potrafi utrzymać w napięciu. I wreszcie czysty film, poezja filmowa, abstrakcyjna gra świateł. Albo tłumaczenie dźwięków na wartości wzrokowe. Ostatnio podłożono tak pod dźwięki symfonji Bethowena plastyczną grę świateł i cieni. W Niemczech. —

— Jak mi się nie podoba film polski? Nie mamy aktorów, nie mamy reżyserów. Poza Norą Ney są to tylko aktorzy teatralni, nie kinowi. Aktorem filmowym jest u nas Sieczka. Z amatora, rasowy aktor. Twarz ciekawa. Chwilami brzydka, chwilami piękna, ale zawsze interesująca. —

— Z sowieckiego filmu zaczyna się dużo naśladować. Naprzykład znana sylwetka robotnika czy chłopa. Najczęściej zdejmuje się go kamerą, ustawioną z dołu. Efekt jest zawsze świetny. Ale w Sowietach ma to dwojakie znaczenie: fizyczne ale i moralne. Śmiało, ostro odcinająca się na tle nieba, przepołowiająca cały ekran sylwetka proletarjusza jest u nich symbolem klasy pracującej. U nas traci już to znaczenie. —

— W teatrze nie mamy też dramaturgów. Epigoni. Jedynym dramaturgiem nawskróś nowoczesnym jest Witkiewicz. Sztuki jego byłyby świetne, gdyby nie cała ich nieteatralna nadbudowa filozoficzna. Dlatego długo jeszcze nie będzie grany.

— Niektórzy reżyserzy u nas naśladując sowieckich, wystawiają stare sztuki, nowym sposobem. —

— Powieść polska? P wojnie rozkwitła wspaniale poezja, jako najbardziej bezpośrednia mowa uczucia. Potem dopiero rozwinęła się powieść. W ostatnich latach . Kaden wyrąbał jej drogę. Z ostatnich czasów? „Zazdrość i medycyna“?. Świetna książka! Żywiołowy talent! —

— Styl jednostajny? Naśladownictwo Huxleya? No tak, ale ja jestem entuzjastą Choromańskiego. Przyszły Żeromski. —

— Poezja? No cóż, będę chwalił awangardę. Oprócz mnie oczywiście, najbardziej odpowiada mi Przyboś. Jest to silny poeta. Krótkie wiersze, ale każdym nabije ćwieka w głowę. Skamander zrobił swoje. Tuwim, Wierzyński? Nie mają oni żadnego podkładu ideowego ani socjalnego. Nie mają następców. Młodzież jest silnie pod naszym wpływem. Tak życzę powodzenia. I zmieńcie koniecznie stronę graficzną.

21. II. 1934. **aka. 358.**

Nasza audycja.

— Przyjdź na zebranie Bibljofilów. Będziemy omawiać naszą audycję radjową!

Słowa te, wypowiedziane do mnie po nabożeństwie szkolnem zadecydowały o udziale moim w wymienionej audycji. Działo się to właśnie w końcu listopada, kiedy obchodzono tydzień książki. Już dziś, kiedy to piszę, nie pamiętam jasno wszystkich szczegółów i przygotowań. Wiem, że tekst słuchowiska, mającego być imitacją prawdziwego zebrania naszego „Koła Miłośników Książki“, ulegał bez przerwy zmianie. Gdyby ktoś porównał tekst początkowy z odczytanym przed radjem, nie byłby zobaczył prawie żadnego podobieństwa. Przypominam sobie, ile kłopotów było z wyreżyserowaniem wszystkiego, z zapełnieniem czasu, przeznaczonego przez Radjo Polskie na naszą audycję, że w poszukiwaniu cichego miejsca znaleźliśmy je nakoniec w kancelarji p. dyrektora (przyczem nieomieszkaliśmy zbadać jej jak najgruntowniej). Jeszcze stoją mi w pamięci niezliczone żarty i kawały z tej racji dokonywane. Nikt ich nie widział, z wyjątkiem jedynie starego kawalera Nowodworskiego. Ale on, choć je spostrzegł, miał, jak zwykle, twarz poważną na swym poczerniałym portrecie. — W każdym razie zachował dyskrecję.

Aż pewnej środy stanął w pustej klasie, na dużym dywanie mikrofon. Potem przed mikrofonem stanęła grupka młodych ludzi z kartkami w ręku. Każdy z nich był pełen poczucia, iż najlepiej wie, jak do radja mówić, przyczem każdy miał inne uzasadnienie tego. Patrzył się zatem jeden na drugiego z wielkoduszną pobłażliwością. Nie przeszkadzało to temu, że kartki bądź przewracały się i mięły, bądź tylko lekko drżały w ich rękach chłodnych od potu, a na skroniach pojawiły się rumieńce. Dawano sobie półgłosem wskazówki i rady. Zabraniano chodzić, żeby podłoga nie skrzypiała, postanowiono nie ruszać głową w czasie przemówień, żeby głos miał zawsze jednaką siłę.

Oczekiwanie rozpoczęcia przedłużało się. Brakowało jeszcze kilku minut.

Zapanowała nerwowa wesołość, pełna ukrytej niecierpliwości. Pastwą dowcipów padł jeden z kolegów, który ubrał się w odświętne ubranie, jakby specjalnie na słuchowisko. Znaleziono w nim kogoś, kogo można wyśmiać za tremę, do której wszyscy się poczuwali, ale bali się do niej przyznać. Nieszczęśnika uratował dyr. Krakow. Radja p. Winiarz, prosząc o zachowanie spokoju i o rozpoczęcie audycji, gdy podniesie rękę do góry. Momentalnie zapanowała cisza. Wszyscy stanęli na stanowiskach, by znów po chwili zmieszać się w bezładną gromadkę. Przed mikrofonem stał tylko pierwszy mówca, t. j. prezes koła, przy gramo-

fonie, mającym urozmaicić audycję hejnałem, czekał jeden z pośledniejszych członków. Naprężenie stawało się coraz większe. Odchrząkiwano chóralnie, układano do reszty kartki w ręku. Gwar zwolna rósł. Nagle od drzwi, skąd miano dać znak zabrzmiał szept: Cisza! — Kilkunastu chłopców zmieniło się w posągi. Nagle ukazała się dłoń w górze. Posąg prezesa drgnął. Poczęły padać słowa zrazu niepewne, słabe, później coraz płynniejsze.

— A ze ściany patrzał na to kawaler Nowodworski. Nie przypuszczam, by rozumiał, co widzi, lecz nie dawał tego poznać po sobie i twarz miał, jak zawsze, poważną.

Z. Estreicher, (gimn. 356).

OPOWIEŚĆ PUSZYSTA.

Nasypał śnieg i było byczo. Świeży puch pokrył góry. Puch. Trzydzieści centymetrów śnieżnego puchu. -W nocy mróz i lekko przyschnięta skorupa. Przyjacielu!

Ślad się kładł równo, sinemi dwiema pręgami blisko siebie od szczytu baniatej góry, aż do strumyka. Jakby dwa cięcia przecięły stok. Nad strumykiem zlewał się w ostry zakręt . wysypywał nazewnątrz niebieskie grudki śniegu. Pod słońce.

Potem między białemi trójkątami drzew sunął. Sunął. Czy słyszycie to słowo? Z obu stron białe krzyże kijków. Miłosierne, łagodne, białe.

I kończył się. Nie chciało się wprost temu wierzyć, widząc, nieomylną ciągłość i równość. Każdy zdziwiłby się, przystanął, — Ślad się kończył

Kończył się na granatowej gmatwaninie i na dwuch nartach wyrzuconych wysoko w górę i powoli, spadających w śnieg. —

Uff, kąpiel. Biała, niebieska, różowa! Zimna, ciepła, mroźna, parna! Psia kąpiel głową w śnieg. A jutro są zawody i trzeba się przecież oszczędzać.

Rano niepokój. Oszałamia i jest tak słabo. Lęk niewiadomo przed czem. Nie przed współzawodnikami, nie przed nartami. Zna przecież dobrze tę parę starych, zniszczonych desek.. Nie. Ale ten najmilszy niepokój, rozkoszna gra czasu z przestrzenią, którą rozstrzyga człowiek.

I jak zwykle smary. Dziesiątki nazw, dziesiątki rad, dziesiątki odradzań. Próby na „oślej łączce“ i wreszcie decyzja, cudowna kombinacja, a raczej komplikacja kilku różnych smarów w różnym stopniu roztartych i nieroztartych. —

Na wielkiej, białej karcie długa lista zawodników. Gruby, opalony sędzia nad śnieżnym papierem wpisuje nazwiska i imiona. Każde nazwisko na papierze nie znaczy nic, ale znaczy giętką postać na trasie, jeden godzinny wysiłek i jeszcze jedną wolę zwycięstwa. To dużo!

„A na imię?“

„Tadeusz“.

Po tym zapisie niepokój Tadka wzrósł. Czuł, że „alea iacta est“, a droga w wyobraźni, znajoma droga dwunastu kilometrów dłużyła się, każde podejście piętrzyło, a godzina zeszczuplała, skurczyła się i stała się chwilką. Głowa mu trochę ciążyła i często ziewał.

„Badanie lekarskie“.

Wielkie, spłaszczone ucho lekarza okrążyło klatkę piersiową, wsłuchało się w serce, spłaszczony palec zaciążył na pulsie. Wszystko było oczywiście w porządku.

Przy losowaniu numerów Tadek nie mógł ustać. Wyszedł na śnieg, przed schronisko. Była cisza. Słońce po chwili zaczęło piec na twarzy i piersiach. Na plecach czuł mróz. Po chwili wyszli zawodnicy z czerwonemi kwadratami numerów na piersiach. Tadkowi dostał się czternasty.

Oj Przyjacielu! Niepokój.

Żeby choć dostał feralną trzynastkę, szczęśliwą siódemkę, fatalną jedynkę, albo którąś z tych wiele mówiących liczb. Ale czternastka. Bezbarwne, bez zapachu, bez smaku czternastka. Niema, głupia czternastka. Nie był zabobonny, ale mimowoli niepokój wzrósł.

„Na start!“

Stanęli długą, prostą, jak ogon koło sędziowskiego stolika. Wyglądali niezgrabnie, a narty długiemi deskami chyba zawadzały każdemu. Tadek poczuł niemoc. Zdawało mu się, że w swojej kolejce nie wybiegnie, tak jak inni, tylko zatrzyma cały szereg. Nie myślał nawet o następstwach; wydały mu się zbyt straszne. Czuł, że nie zdobędzie się na pchnięcie rękami, na zryw po zlodowaciałej drodze. Przed nim jeden po drugim zawodnicy wybiegali.

Naraz wyzwalali swą siłę i narty szurgały po drodze.

Już dwunasty.. trzynasty... — czternasty!

Nie wiedział nawet, jak znalazł się na początku długiego podchodu. Uczynił to mechanicznie na twardy, automatyczny wyraz — czternasty...

Puch. Biały, szary puch. Przelewał się przed nartami, wytryskał za nartami, wysypywał się w ślady kijków. Szumiał, szeleścił, szeptał.

Człapak. Długi, skaczący krok. Bez kości, same muskuły. Muskuły, mięsiste. Silniej, silniej. Rytm. —

Plecy trzynastki zbliżają się coraz bardziej. Widać już ciężko obsuwające się narty. Źle nasmarowane.

„Biedak“!

„Tor wolny!“ Uśmiech. I dalej. Na grań! Krucha, kryształowa skorupka na śniegu. Stajesz, łamiesz i lecisz na dół w biały, szary puch. Ale to złudzenie.

I jeszcze podchód.

Zmęczenie przychodzi nagle. Idzie od stóp, coraz wyżej. Zamraża kolana, zastyga w mięśniach, dochodzi do płuc i skacze sercem rozdygotanem. Ręka wsparta na kijku zostaje w tyle i musisz ją ciągnąć, ciągnąć długo i z wysiłkiem.

Ale dalej, dalej!

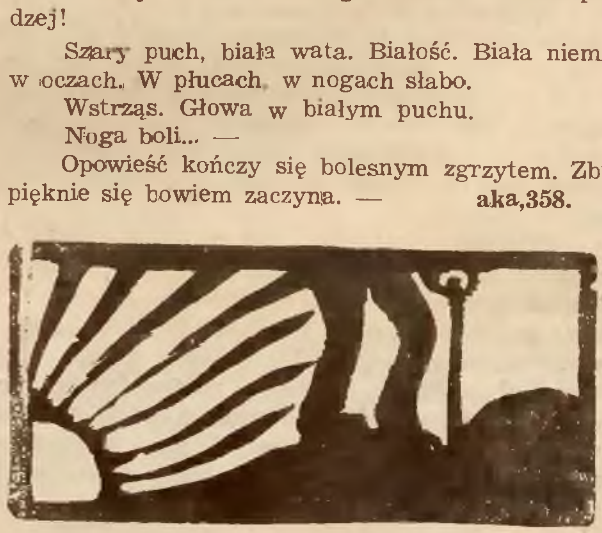
I zjazd! Chwila zapomnienia, wiatru, pędu. Płuca zwalniają, pogłębiają oddech. Spokojnie, spokojnie. W głębokich koleinach sunie czarny dziób narty, a za nim drugi. Równo... Coraz prędzej!

Szary puch, biała wata. Białość. Biała niemoc w oczach. W płucach w nogach słabo.

Wstrząs. Głowa w białym puchu.

Noga boli... —

Opowieść kończy się bolesnym zgrzytem. Zbyt pięknie się bowiem zaczyna. — **aka,358.**



Tragedja klasy.

Zapukano do drzwi.

Jacek, siedzący w pierwszym rzędzie i w pierwszej ławce podbiegł, otworzył — przyjął podaną z za nich grubą księgę i krokiem bardzo ważnym zbliżył się do katedry i doręczył ją profesorowi.

Na twarzy poważnego polonisty ukazał się wyraźny grymas zniecierpliwienia i zarazem pewien nerwowy skurcz zarysował się wokoło ust. Stale te kurendy!

Nikt przecież na świecie nie lubi, gdy mu się w pracy przeszkadza. Tembardziej trzeba się wstawić w położenie wyczerpanego nauczyciela, który resztkami sił wykłada na piątej godzinie i to w gorącej i dusznej atmosferze majowej, kiedy to i młodzież niezbyt pilnie uważa i trzeba silnie panować nad nią, z utęsknieniem wyczekującą na upragniony dzwonek, a wskutek tego niezbyt skupioną myślami na przedmiocie przezeń wykładanym.

Profesor niedbale wyjął kartę z księgi i znużonym głosem przeczytał, niezbyt nawet głośno:

Klasa IV. a. przyjdzie jutro na 3 godzinę nauki. Oczywiście, gdyby był przeczytał n. p. „Pan skarbnik zbierać jutro będzie na komitet rodzicielski", niktby nawet nie zwrócił na to najmniejszej uwagi, a ten, który tam gdzieś w ostatniej ławie usypiał, nie raczyłby nawet oka otworzyć na tę nowinę — kiedy jednak przeczytano — jutro wolne, to słowa te padły na klasę, jak iskra na proch, wybuchnęły otwartą, młodzieńczą, płomienną radością. Jutro wolne — pierwszych dwuch godzin niema, pysznie, ale co to właściwie przepada? Któryś tam znalazł podział godzin. Łacina i greka. Cudnie! Ale ciekawe, co też stało się Liszkowiczowi?

Przecież on jeszcze ani jednego dnia nie opuścił, jak nas uczy od pierwszej klasy! Hm! to dziwne... Profesor zaś obojętnym ruchem oddawał kurendę Jackowi. Cała ta godzina przeszła pod szczęśliwem wspomnieniem jutra, pod miłem wrażeniem, że przecież jutro nie trzeba będzie tak wczas iść do szkoły, że można będzie iść na spacer, na błonia. Śliczny, wiosenny czas, pachnąca pogoda majowa — a więc będzie można gdzieś czy po plantach pochodzić, czy pokopać w piłkę. Istniała wtedy właśnie w naszej klasie moda grania na plantach „w dołki" i stale grający w pewnem kółku, naprzeciw „hotelu Krakowskiego.. tworzyli odrębną kastę,. Otóż ci wiedzieli, że pójdą tam na planty. Przed oczami zaś tych, którzy kopali w piłkę otwierała się obszerna, zielona równina błoń krakowskich, na których z przyjemnością jutro biegać będą i grać „w gola" do upadłego.

W każdym razie zawsze, gdy ogłoszą w klasie „wolne" ,każdego bez wyjątku ogarnia radość! Nie dlatego, żeby młodzież nie lubiła szkoły, ale dlatego, że każde „wolne" uprawnia do zużycia tego czasu,, jak swojej własności. — I tutaj, zależnie od zamiłowań i usposobienia każdy ten drogi czas możesobie samemu wyłącznie poświęcić.

Dlatego też wszyscy bez wyjątku, serdecznie ściskali się, za ręce, a słowo „przycis!" niejednokrotnie grubym basem zbyt głośno po klasie z tylnich ławek zabrzmiało. Na drugi dzień wróciliśmy wszyscy rozpromienien do szkoły. Piłkarze byli czerwoni, zgrzani, spoceni w rozchełstanych koszulach, w ubraniach skurzonych, z butami białemi, skopanemi w niemożliwy sposób, ale zadowoleni, pełni życia i werwy. Ci zaś z plant, również mieli świetne humory i mieli niemało ciekawych tematów „romansowych", które polegały jeszcze narazie na obserwacji z dala i rozmowie oczami, jak to Żeromski opisuje w „Syzyfowych pracach". Ledwo jednak Józek wpadł jak bomba do klasy, a zaraz od progu zawołał: Jutro wolne! „Pietrek" chory!!!

O! co za szalona radość ogarnęła wszystkich. Jakieś nieuzasadnione podniecenie.

A Józek opowiadał dalej: Chory jest widocznie ciężko, a więc przez jakie kilka tygodni nie przyjdzie do „budy".

Dotychczas nie było dnia, żeby on go opuścił. Był wszędzie i zawsze. Aż tu nagle czytają wiadomość, że nie przyjdzie i lekcji prowadzić nie będzie. Coś stało się widocznie strasznego, co powaliło tego niestrudzonego olbrzyma sumienności i pracy. Nikt wtedy nie zastanawiał się nad tem; najważniejsze to, że wolne przypominało już miłe wakacje, które były tak niedaleko. A trzy godziny dziennie, przepędzone w szkole czyniły w niej pobyt znośny i niezbyt męczący, a nawet bardzo przyjemny.

A tymczasem w mieszkaniu starego filologa dokonywała się tragedja — dokonywał się kres jego życia doczesnego szybko i nieubłagalnie.

Organizm, który dotychczas prawie nigdy spokoju nie zaznał, ani wypoczynku, zaczął wyczerpany resztkami sił mocować się ze śmiercią.

Lekarze orzekli: „zapalenie, jeżeli serce wytrzyma w ciągu kilku dni choroba się skończy".

Ale to serce wrażliwe, dobre i serdecznie kochające młodzież nie mogło wytrzymać naporu gorączki, rozpoczęła się agonja. Tę wiadomość przyniósł pewnego razu do klasy Tadek i skupiony, pełen przejęcia opowiadał wszystkim, którzy również przejęci i już naprawdę szczerze zatroskani, słuchali go ciekawie i wypytywali się kilkakrotnie troskliwie o szczegóły.

Widział go, już biedny profesor nie mówił, ręką im z daleka kiwnął i miłośnie wzrokiem ich żegnał, z żalem i z tą właściwą sobie wychowawczą troskliwością w oczach. Nie, to chyba, nieprawda! Nikt z nas dokładnie, plastycznie nie odczuwał tej śmierci, która czyhała już tam u wrót, u łoża drogiego gospodarza klasy. Ja byłem wówczas przekonany niezbicie, że przecież to wszystko dobrze się skończy, że jeszcze „kochany Pietruś" powróci i nadal będzie nas uczył jak dotąd. Gdzieżby człowiek, który dopiero został oderwany od warsztatu pracy w trzy dni potem miał już umrzeć. Nie, to niemożliwe. Kochany profesor był tak ciałem i duszą z naszą klasą nierozdzielnie złączony, iż nam się wtedy zdawało, że śmierć jego byłaby jakimś niesamowitem odłupaniem dużej bryły z jednolitej całości naszej klasy, naszego grona. Jakaś fizyczna niemożliwość stałaby się wtedy wbrew wszelkiemu prawu, czy też sprawiedliwości. A jednak...

Ta smutna wieść poruszyła do głębi nasze umysły. Zaczęliśmy sobie dokładniej zdawać sprawę, kogobyśmy stracili. Piotr Liszkowicz był gospodarzem naszej klasy — ale ta nazwa „gospodarz" byłaby tutaj czemś bardzo krzywdzącem w stosunku do niego — był on i ojcem i wychowawcą i nauczycielem naszym. Zaczęło coraz wyraźniej rysować się w naszym umyśle, zaczęliśmy wtedy coraz bardziej pojmować jego dążenia i cele. Zaczął od tej chwili stawać się nam bliższym i bardziej zrozumiałym.

(C. d. n.)

B. Kruczkowski, gimn. 357.

100 metrów na nartach.

(autentyczne).

Niech mi wybaczą Szan. Reżyserowie „100 metrów miłości", że zapożyczam od nich w tytule dwa pierwsze słowa; nie myślę bynajmniej ich udanej (dwa chrząknięcia od strony żołądka) komedji poprawiać pragnę jedynie stworzyć — coś co w bladych zarysach przypomni srebrzysty ekran i szybko zmieniające się obrazy. — Chcę przed każdym Czytelnikiem wyświetlić krótko-metrażowy film niemy, którego udźwiękowienie pozostawiam indywidualnym zdolnościom Szan Czytelników. — (Zaznaczam, że zniżki kol. Jurkiewicza wyjątkowo, aż do odwołania nieważne).

—A więc — zaczynamy! —

1. „...mieszaninę tę należy przelewać z buta do buta i pozwolić jej w spokoju zastygnąć". —

Skończył się „wykład" o ekwipunku narciarskim; jeszcze kilka uwag o prześcieradłach, kocach czy smarach — i ostatnie przygotowanie zakończone. —

Środa rankiem wyjazd — oczywiście na narty pod „Babcię". —

2. Dworzec główny — godz. 9 rano. Wszystkich gęby roześmiane ,wesołe jakby przed chwilą conajmniej pozdawali matury. —

— Otóż mamy i naszych „bohaterów"! —

Bronek i Gutek, pocieszne rodzeństwo, kropla w kroplę do siebie podobni, przytem pokaźnej tuszy, stoją obok olbrzymich rondlów z wiktuałami.

— Gdzie rondle, tam oni, a gdzie oni tam i rondle. — Zresztą widać to po nich! —

Łączna waga (nie rondli) 215 funtów. —

— Opodal Grześ — miły „chłopczyk" paraduje w spodniach nr. 1, pozatem niebieska kominiarka, niebieskie oczy — słowem niebieska głowa i niebiesko w głowie. —

W tylnej kieszonce spoczywa jego płaska flaszeczka z... mleczkiem (słowo honoru — że z mlekiem), nieodstępna jego towarzyszka w ciągu całego kursu.

-- Reszta bractwa porozchodziła się po peronie i łazikuje, jak już nie z minami zawodowych Norwegów — to przynajmniej Marusarzy lub Czechów. —

3. — W niedługo potem długie cielsko z rozklekotanych wagonów uwoziło całą naszą gromadę do „słońca, gór i śniegu". —

4. — Maków! — Słońce praży jak w czerwcu, a pod stopami święta ziemia obnażona, pokryta jedynie, tu i ówdzie łachmanami topniejącego śniegu.

Następuje 5 godzin beznadziejnej jazdy saneczkami do Zawoji. —

5. Już się zciemniało, a my jeszcze wciąż jedziemy. Pytamy górala po drodze: „A daleko jeszcze do „Schroniska Śląskiego" na Wilczej?" — „Adyć bedzie z pół kilometra". — Jedziemy dalej z godzinę i znów pytamy jakiegoś parobka: „Czy daleko jeszcze?" — „Ano bandzie z pół kilometra". —

— Cóż u djaska — myślimy — albo my stoimy w miejscu, albo nam Zawoja zwiewa z przed nosa! —

6. W czasie jazdy załamały się pod „bliźniętami" silne góralskie sanie, a koń, który ich wiózł zrezygnował z dalszych tortur. — Dopiero, gdy obaj raczyli zejść na drogę, szkapa ruszyła, ale się jeszcze ciągle w tył trwożliwie oglądała — dopóki braciszkowie znowu nie usadowili się, ale już na innych sankach — wtedy już była spokojna. —

Grześ, który swą karjerę narciarską rozpoczynał od skieringu, zdążył po drodze ucałować i uściskać poczciwą matkę ziemię, ale to tak serdecznie, że mimo niebieskiej oprawy głowy nie mogliśmy go poznać. —

7) — Nareszcie widać „Schronisko". —

Zapytujemy na hecę jeszcze raz przechodzącego gospodarza — czy daleko jeszcze do Wilczej i do „Schroniska". — „O toz juz i chałupe widać — mówi — ale ślibyście panowie warcij, bo wom ucieknie"! —

Zdębieliśmy. „Pałac na kółkach", czy może jaka zaczarowana chatka Baby Jagi na kurzej łapie? —

„A bo tyz wcora — wyjaśnia — jak jakiesi państwo odjezdzali, to pedzieli, ze chroboki w tem „Schronisku" to tak sie ich krwie obezarły, ze ino patrzeć jak rusą z chałupą i powendrują do Cechów — bo to ponoć spaśny noród". —

Informacja była nader wymowna. —

Bronek i Gutek jako delikatne, eteryczne istoty dostali mdłości i wogóle... — a Grześ wytrąbił czemprędzej „nabiał" z flaszeczki, bojąc się, aby później na miejscu nie musiał dzielić się z 6-nożnymi gospodarzami. —

8. — Już mieszkamy w „stolarni" (popularne przezwisko naszego mieszkania) trzeci dzień. —

Jest nam ogromnie wesoło — często nawet za wesoło. — Jeden kąt izby jest szczególnie rojny i gwarny, mianowicie okolica łóżka piętrowego, zajmowanego przez dwóch braci (na parterze) i Grzesia (na piętrze). —

O! gorące chwile przeżywał Grześ, gdy marząc przez sen przypadkowo zleciał na dół. —

Jego krótka koszulina nieźle spełniała rolę spadohronu, ale na dole — o zgrozo — czyhały nań srogie, a pulchne rączki bliźniaków... —

...Zazwyczaj podobna afera kończyła się tem, że braciszkowie windowali nasiniaczone ciało Grzesia w górę, przykrywali je delikatnie kocem — na rano Grześ był zdrów jak ryba. —

9. Wycieczka! — Jedziemy wszyscy na Pilsko. Grześ dzisiaj włożył spodnie nr. 3, bo dwie poprzednie pary stały się ofiarą jego „szusów". a raczej zatrzymywania się po „szusach". — Bronek i Gutek windują na zmianę pod górę ogromny plecak z prowiantami (opłaciło się im to zresztą). —

Koło niejakich Głuchaczek — pobłądziliśmy, ale to tak naprawdę. — Najpierw zjeżdżamy ostrożnie zakosani w głęboki jar. — Gutek, który właśnie niósł prowiant woląc nie ryzykować nart i słodkiego (5 bloków Suchard'a) ciężaru, stosował metodę „kijków złączonych" — zresztą większa część parodjami „christjanij" zsuwała się wolno ku dołowi. —

Nagle, koło nas coś w błyskawicznem tempie szurnęło, sypnęło śniegiem i poleciało prosto wdół — to „Grześ" — „szusuje". —

Z głupim wyrazem twarzy, bez cienia strachu prosto na łeb na szyję. Na dole słyszymy za chwilę „łu-bu-du" — Grześ w pięknej formie zastopował.

Zjeżdżamy na niże. — Koło „kropy" w śniegu stoi Grześ bez kijków, bez kominiarki i niebieskiego szalika, z kawałkiem spodni w jednej — a z flaszeczką — w drugiej ręce. —

— „Ale się klawo jechało", — pociesza się — tylko po jakiego diaska ta miedza była potrzebna i to akurat tutaj"...

10. Już było ciemno, drogi ani rusz znaleźć nie mogliśmy, więc postanowiliśmy nocować w Głuchaczkach.

„„Bliźnięta", Grześ i jeszcze nas dwóch wybraliśmy się szukać wspólnej kwatery. —

„Kuba — dobry pasterz" (nasz instruktor) podzielił całą gromadę na piątki, z których każda miała sobie znaleźć legowisko. — Nasza grupa rozkwaterowała się dzięki wrodzonej intuicji dwu braci u zamożnego „trafikarza", który właśnie urządzał domowe świniobicie. — Odstąpiono nam izbę, w której prawdopodobnie poczciwe zwierzę ostatnie tchnienie z siebie wydało, o czem świadczył i porządek i arcymiły zapach, jaki nas owiał przy wejściu. — My jednak, jako posiadacze, plecaka z żywnością, błogosławiliśmy już wkrótce hygjeniczny stan tej izby, bo co jaka piątka zgłaszała się po prowiant, to jeszcze prędzej zwiewała, widząc chleby, sery i wędliny, rozłożone na „czystej" podłodze i dusząc się od miłej atmosfery, jaka panowała w izbie, do której my zresztą szybko przyzwyczailiśmy się. —

— Rozklekotana kukułka krztusząc się wykukała 12 godz. — Ciemno wszędzie i głucho. Gospodarze skupili się w kuchni w ośmioro i „chrapali tak twardym snem, że ich nie zbudzi" nieopisany ryk Grzesia, do którego w słodkim śnie przyfrunął jakiś przedmiot śliski, wilgotny, a przytem tak twardy, że odbiwszy się od jego głowy, jęknął o krawędź łóżka. Jak się wkrótce Grześ przekonał była to najzwyczajniejsza kość wieprzowa, z ochłapami surowego mięsa, niezbyt mile przytem pachnąca. — Po zniknięciu gwiazdeczek przyszedł mu na myśl Samson biblijny, który szczęką końską powybijał Filistynów — ale przecież tu nie ma Samsona — pomyślał — i ani ja nie jestem Filistynem, ani zabójczy przedmiot nie jest szczęką końską, ale zwyczajną kością podudzia świńskiego.

— Z tego przerażenia wyrwał go dopiero duszony śmiech „bliźniaków", z których jeden w tej tragedji odgrywał właśnie rolę Samsona, zresztą zupełnie przypadkowo. —

Otóż Bronek, gdy sięgnął ręką po bucik, stojący pod łóżkiem, z przerażeniem napotkał tam duże, drewniane koryto, dyskretnie workiem przykryte, pełne wszelakiego rodzaju odpadków i kości, a ponieważ już włożył rękę w te szczęki, więc ze złością pierwszym lepszym kawałkiem strzelił w... ciemności. —

I pech chciał, że właśnie ten kawałek napotkał i tak już obolałe czoło Grzesia.

11. Na drugi dzień zrezygnowawszy z Pilska wróciliśmy na Wilczą i zaraz po obiedzie trzy pary góralskich sanek odwoziły wesołą i zadowoloną gromadę wycieczkowców do stacji w Makowie.

„HAPPY END!"

reżyserował: **Demborski 358.**

LIST.

Uczeń w szkole jest epizodem. Buda stoi lata, wieki nawet, a on pojawi się w niej, w najlepszym razie na jakieś 12 lat. I z takich epizodów szkoła żyje. Jest ich wiele. Tak samo jest w klasie. Są też epizody. Bo prócz tych, którzy klasę mają stanowić, przewijają się przez nią takie „krótsze" epizody. Epizodem takim byłem i ja. Byłem nim dlatego, że wyjechałem od was, a dostałem się do Poznania, nosiłem numer 779 i wyjechałem do Radomia. Byłem przez jedno półrocze. W Poznaniu już o mnie chyba niewiele mówią. Za 2 miesiące będą wspominać, że Kuhl w dyskusjach „bronił Żydów i sanacji".

A dla mnie Poznań też zostanie epizodem — smutnym, przykrym. Z Krakowa, z gruntu, w którym tkwiłem mocniej, niż sam przypuszczałem, zostałem wyrwany i dostałem się do Poznania sam. I dlatego o tym epizodzie już pisać nie będę.

Jestem w Radomiu. Nie przypuszczam, żeby mi tu miało być lepiej, niż tam, ale w każdym razie lepiej to zniosę. Ale o to mniejsza. Chciałbym Wam pokazać, co to jest Radom, bo napewno nie wiecie. Każde miasto jest inne, sam to stwierdziłem.

W ciągu kilkunastu miesięcy być w 3 miastach i umieć coś o nich powiedzieć, to dużo. Jeszcze ważniejsze jest to, że 3 miasta — Kraków, Poznań i Radom, to 3 b. zabory, które na nich wybiły piętno, każde z nich ma inny charakter. Radom ma 70 tys. mieszkańców, w tem połowa Żydów. To nadaje mu ton. Nie ton — akord. Odbija się to na nazwach ulic. Mieszkam przy ul. Sienkiewicza (4), gdybym zgubił się w mieście, nikt nie pokazałby mi drogi. Znają tu bowiem tylko ul. Marjacką. Żydzi nazywają się tu n. p. Lewin recte Szkło, względnie Szkło false Lewin. Tak samo ulice: Sienkiewicza false Marjacka, Wysoka recte 1. Maja (!), Żeromskiego false Lubelska. Ta ostatnia to C—D Radomia. W każdem mieście coś takiego musi być.

Ulice Radomia są na modłę rosyjską: nadzwyczaj szerokie, moja ulica, choć zawsze pusta, nie ruchliwa, boczna, ma jakieś 20 m. szerokości. Jest szersza, niż Dunajewskiego w Krakowie. Bruki — kocie łebki. Jest to fatalne. Poczułem na własnej skórze. Było tak: wieczór, ciemno, bo latarnie rzadko się tu zdarzają, mróz. Zaryzykowałem przejście na drugą stronę ulicy. Nie widziałem. Wystający kamień, podknąłem się i „gwiazdy nad tobą, gwiazdy pod tobą" wogóle „Świteź" w oczach. Po owej „upadłości" już nie jestem takim ryzykantem. Tymczasem o mieście dosyć. Chodzę do szkoły.

Drugi debjut w ciągu jednego roku szkolnego. O tym debjucie napisałem dla tutejszej gazetki szkolnej, która nazywa się: „Filarecja", organ S. U. „Filarecja" przy gimn. hum. 338. im. J. Kochanowskiego. Nie oddałem jednak tu i posyłam Wam. Tutaj może nie strawiliby tego. Wy mnie prędzej zrozumiecie.

St. Kuhl, gimn. 338 w Radomiu.

Nowy uczeń.

— „Oto macie nowego kolegę. Z gimnazjum filologicznego". — Tyle powiedział dyrektor.

— „Z gimnazjum filologicznego, greki się uczył, ale chyba „greka" udawać nie będzie" — Tyle powiedział profesor od historji.

A klasa ryczała. Klasa zawsze ryczy, choćby był najlepszy dowcip. Szczerze nie śmieje się nigdy.

Co najpierw zwraca uwagę? Co uderza? — Najpierw uderza powietrze. Takie soczyste, namacalne. Ciekawe — pierwsza godzina i już! No, zdąża się. I tak podczas pauzy wyjdą wszyscy i przewietrzy się klasę.

Pauza. Okien nie otwiera się. Wobec tego ja sam się przewietrzę. Indywidualnie. Zaraz! Zaraz! Przy stoliku profesorskim, po obu stronach dwaj „zapaśnicy". Zmagania na rękę. Tłum chłopców asystuje i dodaje otuchy walczącym. Zawodnicy czerwienieją na twarzy, na czole jednego ukazują się kropelki potu. Jeszcze, chwilka. Jeszcze. Splot rąk drga. Wreszcie zaczyna stopniowo przechylać się. Koniec. Wygrał!! Okrzyki, komentarze! To 7. klasa.

Nowy ruch w klasie.

— „W salonowca się bawimy, panowie, w salonowca!" — drze się chłopak o inteligentnej twarzy. Cóż to za zabawa? Śliczna! Inteligentna, dowcipna: wyrafinowany dowcip! Extra!! Tak się bawią parobki od koni. Jeden siada na stołku, bierze „ofiarę" za głowę, a reszta rżnie. „Ofiara" zgaduje, kto uderzył. A cała klasa bawi się doskonale.

Gimnastyka. Sala malutka — trudno — ale nie jest zła. Staję się przedmiotem ogólnego zainteresowania: „Ale głupi! Po coś się rozbierał? Też pomysł! Spodnie zdjął, panie, bluzę zdjął, nawet koszulę!!" — Odbijam się jaskrawo: sam jeden ćwiczę w kostjumie, reszta w „pełnem umundurowaniu". A na sali wcale nie jest zimno. — Są minima hygjeny jak „Posa"; gdy przepocę ubranie — to zmieniam. To proste. Tylko nie tutaj.

Poranek. Uroczysta akademja. Trwa dopiero 20 min. Zaczyna się część muzyczna. Orkiestra dęta, nadspodziewanie dobra. Polonez. Znana rzecz, więc każdy cicho mruczy. Z następnym utworem gorzej. Nieznany widocznie. Wobec tego nie znajduje uznania. Zaczynają się rozmowy, śmiechy, krzyki. Kilku młodszych kolegów, zachęconych zachowaniem wyższych klas, poprostu bije się. A nakoniec mazur. Polski mazur! Sentyment patrjotyczny ogarnia wszystkich. Tupmy wszyscy, walmy pięściami, wykrzykujmy. Niech żyje mazur!

Nowe moje gimnazjum nie wygląda bardzo na „bojówkę kultury". A powinno nią być.

St. Kuhl, gimn. 338 w Radomiu.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Ponieważ kronika Samorządu gimn. 356 obejmuje cały rok szk., a więc jest stosunkowo obszerna, kroniki miesięcznej gimn. 358 w tym nrze nie zamieszczamy. W nrze następnym ukaże się całoroczna kronika gimn. 357. **jurk.**

Sprawozdanie samorządu gimn. L 356 im. F. Nowodworskiego.

Wśród instytucyj wychowawczych, jakie istnieją w naszej szkole, dominującą rolę odgrywa obecnie samorząd uczniów.

Samorząd uczniów oparty jest na statucie, opracowanym w roku 1929 i uzupełnionym w b. roku szkolnym.

W ramach jego zaprawiają się uczniowie do przyszłej pracy społeczno - kulturalnej i zdobywają świadomość, że już w szkole są aktywnymi członkami społeczeństwa, któremu służyć jest podstawową powinnością każdego obywatela. Uczy również samorząd swych członków poszanowania i posłuchu dla tej władzy, którą sami członkowie z pośród siebie wybrali

Zadanie to, wciąż jeszcze trudne, udało się Zarządowi w znacznej części wypełnić. Wyplenia się powoli samowola i egoizm, rośnie natomiast posłuch wobec prawa szkolnego i wyczucie potrzeby ładu i porządku we wszystkich wspólnych poczynaniach.

Struktura Samorządu ogólno-szkolnego, jako naczelnej organizacji gimnazjalnej, jest następująca:

Na czele stoi Zarząd główny, stanowiący władzę wykonawczą, władzę zaś prawodawczą, dzierży Rada Wójtów, złożona z pięciu przedstawicieli każdej klasy, które wszystkie zorganizowane są jako oddzielne gminy klasowe, pracujące wedle własnego programu, ale w ramach organizacji ogólnoszkolnej. Oprócz tego w skład Rady Wójtów wchodzą od r. szk. 1933-4 przewodniczący wszystkich organizacyj szkolnych, których na terenie naszej szkoły istnieje 26. Jest więc Samorząd tą platformą, na której poszczególne Koła stykają się i uzgadniają swe programy i to w taki sposób, ażeby one o ile możności uzupełniały się. Bo przecież, jeśli dzisiejsza szkoła średnia ma wykształcić młodego Polaka, rozwinąć jego aktywność i jego instynkt społeczny, to organizacje, w szkole istniejące, powinny go przygotować do życia publicznego i społecznego, do którego wejdzie po opuszczeniu gimnazjum i winny zarazem zaspakajać jego indywidualne zaiteresowania. I dlatego to tak wiele jest w naszym zakładzie organizacyj i tak różnolite są ich programy i poczynania. Samorząd więc czuwa nad całokształtem pracy Kół, a w razie potrzeby daje im inicjatywę i pomoc we wszelkich ich poczynaniach.

I tak, skoro gimnazjalne Koło L. O. P. P. postanowiło zbudować dla uczniów naszej szkoły szybowiec, poparł to Samorząd kwotą 50 zł.

Również restytuował Samorząd Sklepik szkolny, jako Spółdzielnię uczniowską, prowadzoną przez gminę klasy VII.

Z inicjatywy i za staraniem Zarządu gminy szk., który dostarczył materjałów i użyczył pomocy finansowej w formie pożyczki, założono w naszem gimnazjum, jako pierwszem z gimnazjów krakowskich, Koło Polskiego Czerw. Krzyża.

W zrozumieniu ciężkich chwil, jakie przeżywa obecnie nasze młode państwo, ofiarowaliśmy na Pożyczkę Narodową 600 zł.

Poza tem działaniem, dotyczącem raczej życia zewnętrznego szkoły, zajmował się Samorząd z natury rzeczy życiem wewnętrznem. Wieczną więc bolączkę każdego samodządu, tj. składki na wszelakie organizacje unormowaliśmy w ten sposób, iż wszystkie składki zostały skasowane. Oto od półrocza każdy uczeń daje miesięcznie 1 złotego, w czem mieści się już 50 gr. na teatr, 10 gr. na LOPP., 10 gr. na Budowę Szkół Pow., 10 gr. na prenumeratę czasopism do Czytelni, reszta składa się na fundusz, z którego każde Koło ma przyznawaną według planu budżetowego pewną kwotę.

Oprócz zajmowania się temi sprawami czysto administracyjnemi urządza Samorząd akademje i obchody, związane z uroczystościami czy też świętami.

Z ważniejszych wymienić należy uroczystości ku czci J. Sobieskiego, które rozpoczęła akademja w dniu 12 września. Przez cały miesiąc, tj. do 12 października odbywały się odczyty i imprezy, organizowane przez poszczególne Koła, które w ten sposób oddawały swój hołd Wielkiemu Wychowankowi naczej uczelni. Dnia 10. listopada, w przeddzień rocznicy odzyskania niepodległości, członkowie naszego Samorządu wzięli udział w pochodzie na Wawel, zoganizowanym przez nowopowstały Samorząd ogólno-gimnazjalny. 11. listopada urządziliśmy uroczystość ku uczczeniu 15-lecia Odrodzenia Polski Złożyły się na nią referaty, wygłoszone przez przedstawicieli poszczególnych Kół, deklamacje oraz produkcje muzyczne.

Tego samego dnia odbyła się się w sali Domu Kat. akademja, zorganizowana przez Samorząd ogólno-gimnazjalny, na której kol. Madyda z kl. VIII a., jako przedstawiciel naszego Samorządu wygłosił przemówienie.

Zarząd samorządu, rozumiejąc, że samorząd ma być instytucją propagującą współżycie uczniów nietylko naszej szkoły i nietylko naszego kraju, dał inicjatywę założenia Koła Przyjaciół Czechosłowacji w naszem gimnazjum, któreby przez nawiązywanie korespondencji z młodzieżą czechosłowacką, przyczyniało się do zbliżenia obu bratnich narodów. Informacyj co do sposobu organizowania Kół Przyjaciół Cz. udzieliło także Koło istniejące przy gimnazjum żeńskiem w Grodnie. Z zarządem tego Koła wymieniłem i dalej wymieniam listy, z których dowiaduję się z wielką radością, że gimnazjum nasze i jego tradycje są dobrze znane i cenione nawet w tak odległem od Krakowa Grodnie. Mojem zdaniem korespondencja taka między polską młodzieżą jest bardzo pożyteczna i wskazana, ponieważ wzajemne poznanie się nas młodych obywateli jednolitego państwa, zaciera ślady kordonów państw zaborczych.

Ten najpobieżniej naszkicowany przegląd prac Samorządu nie wyczerpuje całokształtu naszych prac i wysiłków, których przeważającą zresztą część wykonaną została w gminach klasowych i różnorodnych komórkach zbiorowego życia szkolnego. Zaznaczyć tutaj muszę, że zakres działania i znaczenie instytucji samorządu gimnazjalnego z roku na rok wzrasta tak wśród grona profesorskiego jak i pośród młodzieży. Widzieć to można chociażby z niezwykłego podniecenia i zaciekawienia, jakie rośnie w miarę zbliżających się wyborów nowego zarządu samorządu w naszej szkole.

Wybory te odbędą się mianowicie w dniu 5. marca. Klasa VII wybrała już na posiedzeniu swej gminy trzech kandydatów na wójta głównego z pośród siebie. I tak: kol. Grzybowski, otrzymał głosów 26, kol. Zięba 4, kol. Komornicki 3. Po dokonaniu wyborów dawny zarząd w składzie: wójt gł. S. Rotter (VIIIa.), zastępca Wł. Włosowicz (VIIIb.), sekretarz A. Mizia (VIIIa), skarbnik S. Grzybowski (VII), przekaże w dniu 13. marca, tj. w rocznicę zgonu Fundatora szkoły, Bart. Nowodworskiego, swą władzę zarządowi nowowybranemu.

W dniu tym odczytane również zostaną sprawozdania Samorządu ogólno-szkolnego, poszczególnych gmin, oraz wszystkich naszych organizacyj. Sprawozdania te będą deklaracją gotowości służby obywatelskiej, złożoną Założycielowi uczelni w rocznicę Jego zgonu.

Jan Rotter.
prezes Samorządu Uczniów
gimn. B. Nowodworskiego.

W dniu 19-go marca b. r.
jako w dniu Imienin
Pierwszego Marszałka Polski
Józefa Piłsudskiego
ukaże się specjalny numer
„GAZETKI"
poświęcony Jego osobie.
Redakcja.

Sprawozdanie z działalności Koła Sportowego gimn. L. 358.

Na początku roku szkolnego odbyło się walne zebranie członków Koła, na którem-to wybrano nowy Zarząd i ustalono plan pracy na rok bieżący. Prezesem został b. uczeń naszego gimnazjum, kol. Zdzisław Czajczyk, viceprezesem kol. Maciek Patoń, (VIIa.), sekretarzem kol. Czubak Włodz. (VIIa.), skarbnikiem kl. Pilecki Tad. (VIa.). Zorganizowano szereg sekcyj, z których największą żywotność wykazały: sekcja pływacka, pod wprawnem kierownictwem kol. J. Jurkiewicza (VIIa.), gier sportowych, pod kierownictwem kol. Żaka St. (VIIa.), fotograficzna, prowadzona przez kol. Tad. Dęborskiego (VIIIb.) i kajakowa z kol. Cieszyńskim (VIIIb.) na czele.

Koło liczy około 300 członków i pozostaje pod ofiarną opieką Kuratra Koła p. prof. Mgr. Tad. Biernakiewicza.

W zimie zorganizowało Koło sekcję hokejową pod kierownictwem kol. Henryka Antowskiego (VIIa.), która rozegrała szereg meczy z innemi gimnazjami i staje do mistrzostw Krakowa, o prymat wśród gimnazjów krakowskich.

Patoń M.

LITERATURA

Conrad-Korzeniowski.

Postanowiliśmy Was, biedni Czytelnicy, uraczyć w literackim dodatku do każdej gazetki, jakimś dłuższym artykułem, o którymś z autorów, lub poetów. Naturalnie, kiedy przyszło do pisania, okazało się, że jednemu z redaktorów właśnie zachorowała matka, drugi właśnie na przyszły tydzień ma powtórkę całości z historji, trzeci absolutnie nie ma czasu, inni też znaleźli sobie jakieś mniej, lub więcej prawdopodobne wymówki i artykuł piszę ja sam.

Nawet nie jestem z tego tak bardzo niezadowolony. Już dawno chciałem pomówić z chłopcami w moim wieku o jednym z powieściopisarzy, który, zdawaćby się mogło powinien być właśnie wśród nich najpopularniejszy, a nie jest nim. Mówię naturalnie o Conradzie - Korzeniowskim.

Jestem przy omawianiu tego autora w tem szczęśliwem położeniu, że łaskawy Bóg chronił i nie czytałem jeszcze żadnej poważnej krytyki działalności pisarskiej Conrada, napisanej przez jakiegoś równie poważnego uczonego, będę więc spisywał poprostu uwagi, jakie nasuwają się 16-letniemu chłopcu przy czytaniu jego dzieł. Nadto, ponieważ od czasu, gdym przeczytał ostatnie z nich, upłynęło już kilka miesięcy (nie dlatego, żebym już stracił do tego autora ochotę, ale poprostu ponieważ przeczytałem wszystkie jego w Polsce wydane utwory) więc też uwagi moje wolne będą od bezpośredniego wpływu jednego tylko dzieła i prędzej obejmą całokształt jego działalności.

Na początku powiedziałem, że mojem zdaniem Conrad powinien być wśród młodzieży w tym wieku autorem najpopularniejszym. Naturalnie wśród młodzieży pewnego typu. Nie mówię tu więc ani o tych, którzy lekturę zaczynają od dzienniczka grzecznego dziecka, w 10-tym roku życia cytują na pamięć ustępy z Iljady i obwołani przez mamusie i ciocie cudownemi dziećmi wyrastają na równie cudowne egzemplarze moli książkowych, ani o tych, którzy zaczynają od Mniszchówny, a kończą na Pitigrillim. To są wyjątki, bardzo smutne, tem lepiej jednak świadczące o regule. O tych chłopcach, którzy zaczynają od „Ducha Puszczy" i Karola May'a, a potem przechodzą do Londona i Curwood'a. Ale niestety właśnie, gdy już wyrosną z Londona, a raczej z tych jego dzieł, które stanowią gros jego twórczości i nadają jej charakter, zamiast zwrócić się jakby wymagać się zdawał rozwój umysłu, krytycyzmu i smaku literackiego do Conrada, zaczynają czytać Wallace'a, albo wogóle przestają czytać.

Jakież mogą być tego przyczyny? Sądzę, że jedyną jest sposób pisania Conrada. Conrad bowiem pisząc, nie zwraca uwagi na czytelnika. Wyznaje zasadę: „Jeżeli czytelnik nie rozumie czegoś, to tem gorzej dla niego". To też przyznam się, że sam nieraz po kilka razy czytałem jakąś jego powieść i za każdym razem znalazłem rozwiązanie czegoś, czegom poprzednim razem nie rozumiał. Zaręczam Wam jednak, że opłaci się nawet 10 razy przeczytać każdą jego książkę. tak są wartościowe!

Przedewszystkiem więc słynne Conradowskie opisy morza. Sami Anglicy stwierdzają, że jeżeli chodzi o tę dziedzinę prozy, to nietylko żaden z nich, ale wogóle nikt na świecie nie dorównał temu przybyszowi z Polski. Przytem mają jedną zaletę, dla młodych chłopców, sądzę, decydującą. Są nadzwyczaj krótkie, a raczej nie krótkie, zwięzłe. Każdy wyraz jest jedynym, któryby się w danem miejscu nadał i zastępuje dziesięć, którychby inny w tem miejcu użył. Oprócz tego morze nie jest żywiołem martwym; jest wrogiem, z którym marynarz walczy i dlatego opis naprzykład burzy morskiej czyta się z zapartym tchem i zostawia on po sobie niezatarte wrażenie. Zawsze, o ile możności starałem się opuszczać opisy przyrody, ale w Conradzie nie opuściłem ani jednego. Zresztą co tu dużo chwalić; przeczytajcie tylko „Tajfun", a przekonacie się sami.

Drugą zasadniczą zaletą Conrada są jego nadzwyczaj głębokie spostrzeżenia psychologiczne. Każdy jego typ jest tak wspaniałym, a tak równocześnie prawdziwym i różnym od innych, że wprost podziw zbiera dla przenikliwości autora. Przedewszystkiem doskonale są odmalowane typy starych wilków morskich, ludzi zupełnie pozbawionych wyobraźni i naogół mało inteligentnych, ale za to, a może dzięki temu absolutnie obowiązkowych, na których zawsze i wszędzie można polegać. Przedewszystkiem, ale nie jedynie. W takim bowiem n. p. Lordzie Jimie mamy przedstawiony typ młodego chłopca, romantyka i fantasty, którego całem postępowaniem kieruje właśnie wybujała wyobraźnia. Charakterystycznem jest, że u Conrada, jako u naprawdę wnikliwego psychologa nie spotykamy typu ujemnego, z wyjątkiem może powtarzającego się w kilku dziełach motywu Niemca - oberżysty, którego główną wadą zresztą jest głupota.

Wreszcie najwyższą wartością Conrada jest jego styl. Nie jestem krytykiem literatury i nie potrafię go określić, ale kto tylko przeczyta choćby dwie zacytowane tu książki, Tajfun i Lord Jim, ten z pewnością zrozumie mnie i przyzna mi rację.

Na ostatek chciałbym dodać dla uświadomienia młodszych kolegów, że Conrad, (a raczej Korzeniowski) był z pochodzenia Polakiem. W młodym wieku wyjechał do Anglji, a potem jako angielski marynarz zwiedził wszystkie lądy i morza świata. Zaczął pisać dosyć późno. Stworzył nową erę w literaturze angielskiej. Wszystkie te wiadomości zresztą, mojem zdaniem, nie mają znaczenia.

jurk.

—o—

J. Galsworthy: Patrycjusz.

Nie chciałbym dużo o tej książce mówić. Bo cóż z tego, że opowiem treść; treść jeszcze nie świadczy o jakości powieści. Albo cóż z tego, że będę się unosił nad nią w pochwałach. Wszak samo nazwisko autora mówi tyle, że wszelkie pochwały mogą prędzej dobrze świadczyć o chwalącym, niż o Galsworthym. W każdym razie mogę Was zapewnić, że ta książka podobała mi się ze wszystkich przeczytanych w życiu najbardziej, a czytałem b. dużo. **jurk.**

Z radością możemy Wam czytelnicy zakomunikować, że będziemy w stanie zamieścić w nast. numerach wywiady: z pp. Rostworowskim, Czakowskim i Szantrochem (ale nie jako profesorem).

—o—

Z PRASY.

„KUŹNIA MŁODYCH“ nr. 4., filmowy, z dnia 15. 2. 1934.

Treść numeru odpowiada rzeczywiście nagłówkowi i obraca się prawie całkowicie w sferze filmu. Z artykułów nie zajmujących się filmem najlepszy „Wywiad z Choromańskim“. — Ciekawą zwłaszcza jest jego odpowiedź na pytanie: „Czy powieściopisarze nie powinniby sami, zamiast polonistów, tłumaczyć młodzieży swych dzieł?“ Sądzi on mianowicie, że książka powinna mieć nie taką treść, jaką jej chciał nadać autor, lecz tyle treści, ilu czytelników. W „Przeglądzie Prasy“ widać wielką niezależność sądu i swobodę w wypowiadaniu przekonań. U nas nawet marzyć o czemś podobnem by nie można.

W trzech aż artykułach, z pośród poświęconych filmowi, poruszona jest paląca kwestja zakazu uczęszczania młodzieży na niektóre filmy. Bardzo dobre i na czasie artykuły o filmie krótkometrażowym, szkoda tylko, że tak suche. Bardzo ciekawy reportaż: „Podczas kręcenia“ „Przebudzenia“. Przykro uderza zbytnie forytowanie „Fox‘a“; wygląda na reklamę. Także znęcanie się nad polskim filmem jest tematem oklepanym, a teraz nawet nieaktualny, bo film się znacznie polepszył i ma już swój charakter; można było sobie tego oszczędzić. Dobrze, że wspomniano o wspaniałych groteskach rysunkowych Disney‘a, zwłaszcza barwnych. — Naogół treść numeru zostawia korzystne wrażenie, może tylko zamałe i zasłabe, jak na szkolne pisemko, opowiadania. Wydanie jak zwykle bez zarzutu.

„ŚWIAT DZIEWCZĄT“. Pismo to jest wydawane przez znane wydawnictwo kobiece „Bluszcz“ i dlatego też stoi na wysokim poziomie technicznym, jakoteż i ma określony więcej praktyczny kierunek. Histeryczności, którą tak przeładowane są „Iskry“, niema poza (zresztą b. ciekawym) artykułem o teatrze przed 100 laty. Tak samo mniej jest próbnych, poetycznych wzlotów w niebo, a zato więcej chodzenia po ziemi. Taki np. pożyteczny dział „chcę umieć wszystko“, a więc jak czyścić obuwie, jak zrobić kompot, przydałby się nawet i w innych pismach. Dział powieściowo-nowelistyczny stoi dosyć słabo, lepszy już jest reportaż z Łodzi. Całość robi miłe wrażenie.

SPORT.

Na terenie gimn. 358

(red. kol. Cieszyński).

MISTRZOSTWA HOCKEY‘OWE SZKÓŁ ŚREDNICH.

Gimnazjum nasze, które zeszłego roku zdobyło tytuł vice-mistrza po pokonaniu gimn. Pijarów 1:0, gimn. św. Jacka 2:0 i Szkoły Przemysłowej 3:1, zgłosiło się do tegorocznego turnieju. Po wylosowaniu gimnazjum Kochanowskiego doszło do półfinału, wygrywając dn. 14. II. br. 1:0. Przebieg meczu (0:0, 0:0, 1:0). Gimn. V. mimo lepszej techniki musi ustępować przed ambicją naszych graczy. W pierwszej tercji obustronne ataki nie przynoszą rozstrzygnięcia. Druga tercja wypływa pod znakiem przewagi gimn. III. i przebojów kol. Antowskiego. W trzeciej tercji obie strony, zagrzewane przez publiczność, dążą do zwycięstwa. W gimn. V. razi brak zdecydowania i jakaś obawa nie wiadomo przed czem. Do żadnej kombinacji ataku zwycięską bramkę zdobywa kol. Musil przy wielkim entuzjazmie „kibiców“. Dalsza gra mimo licznych obustronnych otaków nie zmienia wyniku. Najlepszymi w naszej drużynie Antowski, Korbel i Musil.

2. II. METCH HOCKEY‘OWY Z MAKKABIĄ II. 3:2 (2:1, 1:0, 0:1).

Bramki dla gimn. III. zdobył Antowski, dla Makkabi Goldmann i Silberzweig.

W DNIACH 27. i 28. STYCZNIA 1934, odbyły się staraniem „Świetlicy“ naszego gimnazjum zawody ping-pongowe o mistrzowstwo gimnazjów krakowskich. Po zażartych walkach pierwsze miejsce i piękny puhar, ofiarowany przez Sekcję Pań gimn. III., zdobyło gimn. VI., drugie miejsce i dwa artystyczne żetony ginm. VIII. Na obu meczach widzów około 200.

W DNIACH 13. i 14 LUTEGO 1934, odbyły się w gimnazjum IV. międzyszkolne zawody ping-pongowe o mistrzostwo szkół średnich. Mistrzostwo i piękny puhar zdobyła drużyna naszego gimnazjum w składzie Landau, Rothmann, bijąc we finale gimn. VI.

Na terenie gimn. 356

DNIA 27. STYCZNIA 1934, rozpoczęły się zawody o mistrzostwo hokejowe gimnazjum B. Nowodworskiego, organizowane przez Koło Sportowe kl. V. b. Turniej nie został skończony z powodu braku lodu. Wyniki spotkań rozegranych przedstawiają się następująco: kl. V. b. — kl. V a 13—1 (7:0), (3:0), (3:1); kl. IV. b. — IV. a. 5:0; kl. V. b. — kl. VIII. a. 3:2 (0:1), (1:0), (2:0); kl. IV. a. — V. a 3:ć (1:0), (1:0), (1:1); kl. VI. a — kl. V. a. 4:1 (1:0), (1:0), (2:1); kl. VIII. a. — kl. V. a. 6:1, (0:1), (1:0), (5:0); kl. V. b. — kl. IV. b. 19:1, (6:0), (8:0), (5:1); kl. VIII a. — kl. IV. b. 3:1, (1:0), (0:1), (2:0); kl. IV. a. — kl. IV. b. 1:1, (1:0), (0:1), (0:0); kl. IV. b — V. a 2:0. (1:0), (0:0), (1:0). Na czele tabeli stoi kl. V. b., mając 7 punktów.

W sobotę 24. II. 1934, rozpoczynają się mistrzostwa gimnazjum w siatkówce. Stają następujące drużny: kl. VIIIa, VIIIb, VII, VIa, VIb, Va, Vb.

Również w sobotę rozpoczynają się mistrzostwa ping-pongowe.

NAUKA.

Teorja lotu.

Organem, który pozwala samolotowi unosić się w powietrzu są oprócz motoru i śmigła, skrzydła. Będę się starał wytłumaczyć dlaczego skrzydła unoszą samolot. Wiemy, że powietrze ma pewną gęstość i wagę. Jeżeli weźmiemy kawał kartonu i będziemy szybko biec, uczujemy, że jakaś siła stawia nam opór.

Weźmy np. kawałek sztywnego papieru (pocztówkę) i połóżmy ją na dłoni. Teraz z wyciągniętą ręką zacznijmy się obracać dookoła swej osi. Podczas obracania się trzeba stopniowo przechylać dłoń, tak, aby otrzymać nachylenie kilku stopni od poziomu. Otóż zobaczymy, że podczas szybkiego obracania się pocztówka będzie się trzymała dłoni jak przyklejona.

Doświadczenie to mówi nam, że podczas szybkiego obracania działała jakaś siła, która przestała działać, z chwilą kiedyśmy zwolnili obracanie.

Siła ta ściśle zależna od szybkości ruchu nazywa się **oporem powietrza**.

Weźmy kawałek dykty długości około 80 cm. szerokości, około 20 cm. Spróbójmy biegnąć szybko naprzeciw wiatru, przechylając deseczkę pod kątem kilku stopni od poziomu. Zobaczymy, że płaszczyzna stale się wydziera do góry.

Siłę tą, która podczas biegu stale nam wydzierała płaszczyznę ku górze nazywamy **siłą wyporu.**

Kąt nachylenia płaszczyzny do poziomu będziemy nazywać **kątem natarcia.**

Gdybyśmy te doświadczenia powtórzyli, jadąc samochodem, zobaczylibyśmy, jak trudno stosunkowo małą płaszczyznę utrzymać w jednakowem położeniu. Z doświadczenia tego wynika prawo, że opór powietrza wzrasta proporcjonalnie do kwadratu szybkości.

Poznaliśmy, że siła, która utrudniała nam posuwanie się naprzód, czyli szkodliwa siła oporu częściowo przy pewnem nachyleniu płaszczyzny zmieniała się na siłę pożyteczną dla nas unoszącą płaszczyznę ku górze, czyli na siłę zwaną wyporem lub **siłą nośną.**

Zatem najważniejsze zadanie przy budowie samolotu polega na tem, aby płaszczyzny były tak ustawione, by wywołując jaknajmniejszy opór powietrza, dawały jaknajwiększy wypór czyli siłę nośną samolotu. Kąt natarcia wynosi od 3 do 7 stopni, zależnie do jakich celów samolot jest przystosowany. **Korczyński gimn.358.**

FILM.

(redaktor: T. Hołuj)

Passa na niesamowitości.

Jeżeli ktoś obserwuje skrupulatnie ewolucję sztuki filmowej, to napewno dostrzeże zasadnicze wartości indywidualne filmów, produkowanych w różnych krajach. Naogół wybijają się przeważnie filmy charakterystyczne. — Środowisko bowiem takie, w jakim przebywa widz — mówię tu naturalnie o tym przeciętnym, zwykłym widzu — nuży go. To całkiem zrozumiałe — bo przecież zna go, może lepiej od realizatora, a przez styczność z niem w swem codziennem życiu, jest dla niego nieciekawe, monotonne, bezbarwne. To też reżyserowie i autorowie scenarjuszy starają się dać jaknajciekawsze tło, jaknajoryginalniejsze ujęcie. Świetny pod względem artystycznym, film niekoniecznie trafia do szerokiej publiczności. N. p. bardzo ciekawy i pełen walorów film R. Claire'a, 14. lipca — nie ciekawił, pytałem się osób z tej właśnie omawianej przeciętnej, niewybrednej masy kinomanek i kinomanów, jak im się ten film podobał — i w olbrzymiej większości otrzymałem odpowiedzi skrajnie negujące wartości wspomnianego filmu. Ten sam Paryż — lecz przedstawiony nie od strony dzielnicy łacińskiej, starych zaułków, lecz od strony więcej pociągającej — Paryż zabaw, śmiechu i bogactwa napewne podobałby się ogółowi.

Próbowano różnych sposobów, by zadowolić rzeszę „oglądaczy srebrnych ekranów". Za nieboszczki Muzy filmu niemego, były modne, ckliwe romanse, romansidła, walce wiedeńskie, austrjacka (też ś. p.) armja, dramaty, na których nasze (ponoć) babki roniły rzewne łzy.

Jednak znudzono się tem dość szybko — wstrzyknięto więc biednej niemowie — egzotykę. Ba! Słońce afrykańskie, beduini, kozacy, Indjanie — oraz co ważniejsze, tak zwaną popularnie „niesamowitość". Bo trzeba wiedzieć, że publiczność lubi filmy, przedewszystkiem takie, któremi można i trzeba się emocjonować. Przyszedł „Grobowiec Indyjski" (napewno nie pamiętacie — a szkoda) i Nibelungi — Metropolis, zaćmiewające wszystkich — przedewszystkiem wystawą.

I tak od czasu do czasu zaczęły się pojawiać filmy sensacyjne (ale nie w stylu Douglasa Senjora ani H. Peela) filmy o bogatej treści fabularnej — przeważnie oparte na kryminologji i tajemniczości. Sam pamętam jeden naprawdę sensacyjny. Ręce Orlaca — mówię wam szkoda, że żaden z amerykańskich reżyserów nie wpadł na pomysł nakręcania jego wersji dźwiękowej. Katastrofa pociągu. Człowiek-mucha, któremu doprawiono ręce bandyty, jego dzieje i happy end.

Potem jakoś ucichło. Dopiero z filmem dźwiękowym ruszyło Hollywood z całym zapasem „niesamowiłostek". Nakarmiono nas wspaniałą „Mumją" — (omało nie stałem się okultysta) z genialnym następcą Leona Chaney'a, Borysem, Korloff'em (zawód? szofer angielski). Treść bardzo mądra — lub ogromnie naiwna — zależy od tego, czy kto wierzy w reinkarnację dusz czy nie. — Borys dał się pierwszy poznać w filmie naprawdę demonicznym pt.: „Frankenstein". W obu jego wzmiankowanych filmach są doskonałe efekty. — Borys leżał po nakręceniu Mumji 3 miesiące chory — gdyż do tego filmu miał na twarzy maskę z gliny z modelowanemi zmarszczkami 8000-letniej mumji i warstwę 32 (sic!) kolorów. Potem przyszła na świat Wyspa Dra Moreau z kobietą panterą (K. Burke) i plejadą wszelakich potworków i dziwolągów. Ameryka, raz wziąwszy monopol na „niesamowitość" w swe ręce, wytrwale rzuca na rynki europejskie film po filmie. Zaszła tylko ta zmiana, że zaczęto wprowadzać i świat zwierzęcy do obrazów sensacyjnych, jak np. w **King-Kongu.** Realizatorowie wydali wprawdzie jakieś tam

astronomiczne sumy na nakręcenie tego obrazu — ale z pewnością opłaciło się im to sowicie. Sekretu zaś różnych tricków nie zdradzili nikomu. King - Kong — rysunkowy potwór pozostał dla konkurentów wytwórni — tajemnicą.

W Niemczech usiłował nakręcić wielki sensacyjny film (Rene. — Nie udało mu się „z powodu — Hitler". Skończył go więc kręcić we Francji — jako reżyser francuskiego oddziału „Universalu". Był to jeden z tych filmów, na których sala jest pełna. O Testamencie Doktora Mabuze'a mówiono długo, po zdjęciu go z afiszów. Coś w rodzaju King Konga — było z „Hrabią Zarowem". Prócz paru momentów dobrze wykorzystanego napięcia — akcja blada. Na zakończenie pierwszej sesji jest wyświetlana obecnie w jednym z kinoteatrów Krakowa sfilmowana powieść Wallsa pt.: „Niewidzialny Człowiek". **Ta - Ho. 358.**

ROZRYWKI UMYSŁOWE.

Redaktor: kol. Leitner.

Piosnka szaradzistów.

(Hasło).

Zmierzajmy śmiało naprzód, budując zgłoskami
Ojczystej mowy dźwięcznej.
Chodźcie wszyscy z nami!
Układasz wprost
Ustawiasz wspak,
Niepewny most,
Bo przęseł brak!
Cierpliwość miej,
Nie zrażaj się,
Myśl zebrać chciej —
Odgadniesz mnie!

Ignacy Leśniewski

6. Szkoła.

Szarada.

Jakaż polska jest szkoła szósta—ósma, wesoła,
Jakże szczerze radują się dzieci.
W wesołości i pracy tam się uczą Polacy
Tam w żelazo bije exwor-pół rzeci.
Tam się smucą i śmieją, co są Polski nadzieją,
Na Polaka tam każdy wyrasta.
Żdrojem tam jest nauka, która do głów nam puka,
A kolebką druga-jedenastka.
Pierwsze-piąte, że mało kto ją umie czcić całą,
W której przeżył (trzy prawda!) tak wiele.
Mało kto z nas ocenia ten ogrom poświęcenia,
Co ponoszą tam nauczyciele.
Z jakmiż uczuciem wzniosłem wśród tych murów wyrosłem,
By iść w życie już drogą gotową;
Ale wkońcu ktoś może o jakimś profesorze
Dziesięć-piąte choć jedyne słowo?
Czy jest dobry i taki, że go lubią chłopaki,
Czy złośliwość tkwi w nim — burzycielka?
Ale to nic — albowiem o tem tylko tak powiem:
Pa-dziewiąta-siódma to jest wielka!

—0—

8. Zadanie matematyczne.

Pewien nauczyciel matematyki, spotkawczy się ze swym kolegą, również matematykiem, zapytał go: — Ilu uczniów ma kolega w klasie? — Zapytany odrzekł: — Szósta ich część nie przychodzi teraz do szkoły z powodu choroby, 11-tu uczniów wyjechało do rodziców, 7 odbywa zajęcia praktyczne w warsztatach, z pozostałych zaś — 20 uważam za niezdolnych, a 17 za zdolnych. A kolega ma ilu uczniów? — Mam ich o czterech więcej, niż kolega. Ilu uczniów miał każdy z tych matematyków?

Za rozwiązanie wszystkich umieszczonych zadań przeznacza Redakcja do rozlosowania dwie nagrody: 1 wolny wstęp do kina i 2 zniżki kinowe. Za rozwiązanie najmniej jednego zadania 1 zniżka kinowa.

Rozwiązanie zadań z nru 2-3.

1. Szarada.

Karnawał.

2. Kalambury.

1. Kontur — Komtur; 2. Okolica; 3. Pierścień.

3 Zadanie matematyczne.

Dziewcząt było 3, a chłopców 2.

4. Rebusik.

Rozrywka.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Ponieważ mamy teraz korespondentów nietylko z innych gimnazjów, ale i z poza Krakowa, wprowadzamy dział odpowiedzi redakcji.

Kol. K—L, Radom 338. „List" i „Nowego ucznia" zamieszczamy: „Ślub, shotsing i małżeństwo" oryginalne, ale nieprzemyślane. Zresztą ze względów zasadniczych iść nie może. Prosimy o dalsze listy.

Kol. E—M 356. „Audycję" zamieszczamy. Prosimy o dalszą korespondencję.

Kol. K—ski 357. „Pedagoga" zamieszczamy w odcinkach. Drugi utwór z powodu braku miejsca zostawiamy do nast. numeru.

Kol. H—A 358, kl. VI. b. „Odpowiedzialność obywatela" z powodu braku miejsca odkładamy do nast. n-ru. „Postęp katolicyzmu" zachowujemy.

Kol. N—i 358, kl. IV. b. „Dzień ucznia" z powodu braku miejsca do nast. n-ru.

Kol. S—i 358, kl. IV. a. Zachowujemy

Kol. M—i kl. IV. a. Zachowujemy.

Kol. „Miłośnik O-tki, kl. IV. b. Wiersze słabe. R. U. zachowujemy.

Kol. M—r VII. b. Na razie słabe. Prosimy o dalsze.

Prosimy Szan. Czytelników

o nadsyłanie swych uwag co do nr. 4-go.

Najlepiej uporządkować je według dyspozycji:

1), Co mi się w Gazetce podobało najbardziej i dlaczego?
2), Co najmniej i dlaczego?
3) Cobym na miejscu redaktora dodał? Redakja.

Wydawnictwo Gazetki: Sam. ucz. gimn. 358. — Redaktor nacz.: kol. Jurkiewicz. — Ścis. kom. red.: kol. Mróz i Kański. — Opiekun: p. prof. Tad. Szantroch.

Drukarnia L. Gronusia i Ski. Kraków. ul. Stolarska 6